

PIEŚNI OSSYANA.

(PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO, MARYI ILNICKIÉJ).

W 1758 roku, Sir James Makpherson, rodem z północnych stron górnej Szkocyi, bawił jako nauczyciel w domu Grahamów i tam poznał Williama Home, lubionego podówczas w Szkocyi poetę, autora tragedyi Duglas. Makpherson również próbował już sił swoich na polu literatury i niezbyt dawno wydał oryginalny poemat Highlander (góral) a chociaż dzieło to, osnute na tle starożytnych podań gallijskich, nie znalazło powodzenia, młody jego twórca, kochający z zapalem poetyczną przeszłość swojej krainy, która mu była muzą i natchnieniem, wypowiedział raz Homemu kilka ustępów starych gallijskich pieśni zasłyszanych niegdyś w ojczystej swojej stronie. Home, jakkolwiek sam wykształcony na gładkich pisarzach francuzkich i angielskich ich naśladowcach, żywo uderzony został dziką pięknnością téj prostej a wojowniczej poezyi, gdzie szum wichrów huczących nad ziemią gór (al-ben) zdaje się wtorować szczękowi żelaznych zbroi i zachęcać młodego górala do zebrania tych porozrzucanych szczątków. Jakoż wkrótce potem Makpherson wydał w Edyburgu: *Fragmenta starożytnych pieśni przełożone z erskiego albo gallickiego języka*, a sceptyczny wiek XVIIIsty, wierzący tylko w swój rozum i w imię filozofii obdzierający przeszłość z wszelkiego uroku poezyi, dowiedział się nagle że w III wieku po Chrystusie żył w górach szkockich bard ślepy jak Homer, i jak Homer śpiewający wielkie czyny swoich współziomków.

Tak, kiedy stary Rzym, przemocą swoich legii i zdradą swęj polityki podbiwszy cały świat znany, ujarzmił zarazem wielką rodzinę celto-gallijskich ludów, jeden szczerp tego starożytnego rodu zaparłszy się wśród niedostępnych skał północy, nie tylko zdołał powstrzymać zwyciężkie zastępy wrogów, ale zmusił ich nawet, olbrzymiemi wałami murów zasłaniać złote orły swoje. Moc ta jednakże, o którą się rozbiła cała potęga Cezarów, nie tylko polegać musiała na harcie żelaznych mieczy i sile rąk muskularnych; bo kiedy nie ułękły wojownik Kaledonu szedł na bój śmiertelny z *synami obcych*, siwy dziad kroczył obok niego i brzmiałciami słowami pieśni, serce rycerza zagrzewał. Taka pieśń zwyciężkiej chwały albo śmierci bohaterów, stawiała się odtąd własnością rodu całego: śpiewana przy stołach biesiadnych i grobach samotnych przechowywała się z pokolenia w pokolenie, jak puścizna ojcowska, a kiedy po kilkunastu wiekach tajemniczego istnienia odezwała się wywołana z głębi gór swoich, nie tylko Szkocya sama wstrząsnęła się wielkiem wzruszeniem patryotycznego uniesienia, ale cały świat cywilizowany słuch na nią wyteżył, wrażenie zaś jakie sprawiła, uważać trzeba jako ciekawe w dziejach piśmiennictwa zjawisko.

Szkocya najpierw, nosząca jeszcze w piersiach tłumiony żal za straconą przeszłością swoją, przyjęła pieśni Ossyana, jak głos odzywający się z grobu naddziadów. Wydanie całe rozerwano w dni kilkanaście, otworzono podpisy narodowe i błagano niemal Makphersona, aby co rychlej wracał w góry i póki czas jeszcze wydarł nie pamięci te drogie szczątki chwały ojczystej. W tym samym czasie Grej, znakomity poeta angielski odezwał się z sądem pełnym zapału o tęg poezyi prostęj a przecież namaszczonej tajemném jakimś przecuciem piękna, i jak powszechnie utrzymują, pod wpływem tego wrażenia napisał sławną swoją odeg—na mord bardów walijskich, spełniony przez Edwarda Igo. Wtedy Makpherson sławny i z bogacy od razu, puścił się w swoją pobożną pielgrzymkę a wdzierając się na wrzosiste szczyty gór szkockich, błędząc po samotnych wyspach oceanu, zbierał powieści starców i podsłuchiwał pieśni żeglarzy, i w tęgto wędrówce swojej, może na jakieg mogile zapomnianej, przy jakim

ołtarzu zwalonym spotkał ostatniego barda Gallów, Kommon Dresbheartach; bo Turlough O'Korolan współczesny mu śpiewak zielonego Erynu nie żył już od 1738 roku.

Nareszcie Makpherson powrócił do Edynburga. Tam przełożywszy i na nieszczęście ułożywszy zbyt porządnie może zebrane materyały, wydał kolejno dwa ostatnie poematy: *Fingala* i *Temorę*, a cała czytająca publiczność przyjęła je z takim samym jak poprzednie fragmenta zapalem. Lecz to właśnie, co Szkocya ukochała tak gorąco w pieśniach kaledońskiego śpiewaka, obudziło niechęć Anglii, posuwającą się niemal do namiętności. Samuel Johnson, najwyższa krytyczna powaga swojej epoki, umysł cierpki i gwałtowny zarazem, istnieniu Ossyana wręcz zaprzeczył, a na Makphersona uderzył z namiętną jakąś zaciętością zowiąc go po prostu fałszerzem i oszustem. Od téj chwili spór literacki przemienił się niejako w walkę dwóch stronnictw politycznych. Saksony i Galle stanęli naprzeciw siebie, tylko zamiast mieczy i klajmorów, wzięli pióra do ręki. Do jakiego zaś stopnia umysły rozdrażniły się w téj walce, osądzić można z odpowiedzi Dr. Johnson na list Makphersona, w którym poeta szkocki z wyniosłością i goryczą uskarżał się na obrażającą niewiarę angielskiego krytyka.

„Panie James Makpherson!

Odebrałem zuchwały i szalony list pański i użyję wszelkich środków na odparcie podobnych napaści, a czemu sam nie podołam, prawo zrobi za mnie, i spodziewam się, że groźba oszusta nie powstrzyma mnie nigdy od wykrywania jego szalbierstw.

Jakiegoż to odwołania żądasz pan odemnie? Przekonałem się, że dzieło jego fałszerstwem i powtarzam to raz jeszcze; publiczności zaś przełożyłem już dowody popierające moje zdanie, które sprobuj pan obalić. Co zaś do reszty, złością pańską pogardzam, a od wydania Homera, talentu jego się nie lękam i kończę pozwalając panu list ten wydrukować.”

Najgorliwszy miłośnik prawdy historycznej nie napisze nic podobnego bez ukrytej sprężyny żółć mu poburzającej, i kreśląc to Samuel Johnson zatracił w sobie całą

godność charakteru krytyka. Każde jego słowo sili się ra-
nić, jak nóż obosieczny, a uszczypliwa wzmianka o Home-
rze odnosi się do niefortunnego tłumaczenia Iliady, które
Makpherson wydał w lat kilka po przekładzie Ossyana.
Lecz właśnie to co mu wyrzucano, powinno było służyć
za dowód dobrej jego wiary, widocznie bowiem brakowa-
ło mu natchnienia poety; tylko gorąca miłość rodzinnej
ziemi zastąpiła je na chwilę. Jak syn pobożny ukląkł on
na mogile matki ukochanej i ze czcią religijną zebrał rzu-
cone nań klejnoty; lecz że każdy z nich był relikwią, zło-
żył je więc nietykane w skarbcu pamiątek ojczystych. Nie
wiem do jakiego stopnia dowodzenie moje może wydać
się słuszném, ale miłość Szkocyi, co więcej, może nienawiść
tęj samej Anglii, która pod Edwardem Iym i Henrykiem
VIIIym mordowała bardów galijskich, dowodzi jasno że
pieśni Ossyana to wielka epopea narodowej chwały Gal-
lów, a Makpherson nie mógł jęj stworzyć, bo nie był poe-
tą. Nie mówiąc już nic o słabym przekładzie Homera,
oryginalny jego poemat jest poparciem mego zdania. Bu-
dzący te same wspomnienia i z tych samych niemal ży-
wołów złożony, powinien był obustronnie tę samą grę
uczuc wywołać; przecież Anglia i Szkocya nie troszczyły
się bynajmniej o niego. Wreszcie prawdziwy poeta, koniecz-
nie musi kochać sztukę swoją a miłość ta prawie zawsze
przeżyje u niego nawet natchnienie samo; Makpherson
przeciwnie porzucił młodo bardzo swój zawód literacki.
Najpierwej jako sekretarz gubernatora wyjechał do Flo-
rydy, następnie mieszkając w Londynie zrobił się adwo-
katem książąt indyjskich, broniąc ich przed chciwością
kompanii; wreszcie zbogacony niezmiernie tém ostatniém
zajęciem powrócił do Szkocyi, gdzie żyjąc jako wielki pan
umarł wkrótce.

Po śmierci Makphersona, szranki na chwilę otwartęj
walki otworzyły się na nowo. Poeci i uczeni, Szkoty
i Anglicy dążyli w góry, aby na miejscu rozwiązać kwe-
stye od lat kilkunastu niepokojącą umysły. Dr. Johnson
puścił się w tę drogę, jakby pędzony złością wewnętrzną,
a jadąc tam z postanowieniem naprzód już powziętém,
szydzi z kraju gdzie nie umieją pisać a tworzą poezye.
Wreszcie przyznając się że słyszał kilka barbarzyńskich
ballad, z których Makpherson *ukradł* co najwięcej nazwiska

miejsce i osób, choć sam nieumiejąc po galicku, nie mógł nic więcej zrozumieć, miota wszędzie jadowitemi wyrazami oszustwa i zbrodni nawet. Tak więc pozbawione przynależnej godności badania krytyka angielskiego nie dowodzić nie mogą, tem więcej że nieznanomość języka i wstręt górali do *Sasenacha*, niewzyciężone stawiały mu w nich przeszkody. Z drugiej zaś strony piękne i poetycznym językiem pisane rozprawy profesora Hugn Blair, mogą być podejrzywane, jako dzieła, gorąco do wszystkiego co swoje, przywiązane go Szkota. Zawsze przecież bezstronny czytelnik znajdzie w nich kwestyą objaśniającego światła, choćby tylko przez obeznanie się z pieśniami bardów irlandzkich, opiewającemi te same męże i czyny, z których Blair obok angielskiego przekładu oryginalne ustępy przytacza. Oprócz wyżej wymienionych badaczy Dr. Smith i Anglik Hill odprawili w tym samym celu podróż do gór szkockich i wysp Hebrydzkich; wkrótce potem akademія Edyngburska wysłała tamże pod przewodnictwem Roberta Makkenzie, Komissyą złożoną z światłych i zaszczytnie znanych członków swoich; skutek zaś tych wszystkich poszukiwań był niemal jednakowy. Ossyan Dall (ślepy) żył i śpiewał niegdyś, bo imię jego przetrwawszy wieki, przechowało się w pamięci ludu całego; a znalezione tu i owdzie ustępy jego pieśni, zgadzały się niemal dosłownie z ustępami nowożytnego przekładu. Nie odzyskano wprawdzie żadnej całości, żadnego kompletnego poematu, ale przypomnijmy sobie, że w ciągu kilkunastu lat ubiegłych, nie jedna siwa głowa położyła się w mogiłę a zwycięzka polityka Anglii umiała zręcznie wydzierać biednemu narodowi, nawet wspomnienie dawniej jego przeszłości. Ci zaś, co w sercach swoich unieśli szczątki tych relikwii ojczystych, musieli być koniecznιe smutni i zadumani. Radosne dźwięki wesela lekko płyną z ust szczęśliwych, ale pieśni o umarłych śpiewa się tylko bratu, co obok nas klęczy, na grobie. Makpherson kość z kości, i krew z krwi tego ludu, któremu Bóg przeznaczył być ostatnim ojcowskich mogił strażnikiem, Makpherson znał pieśni jego jeszcze z ust niańki swojej i tego dziada dudziarza, co widząc że nie opatrzone pacholę śmiejąc się igra na samotnym pagórku w dolinie, rzekł mu kładąc dłoń swoją drżącą na główce złoto-włosój: dziecię! to grób twojego

dziada bohater! To też kiedy po długich latach rozdziału, poeta wrócił do tego ludu i w imię najświętszych pamiątek przemówił doń słodkim dźwiękiem rodzinnego języka, prosząc go o dział ostatni wspólnego skarbu, o pieśń ojców pomarłych, lud ten wydał mu wszystkie tajemnice gór i lasów swoich i wszystkie dumy przeszłości swojej wyśpiewał. Jeżeli zaś nuta jaka zaginęła przypadkiem, jeżeli połowa pieśni przymarła do ust śpiewaka, albo, zamieniona w westchnienie, uleciała ku niebu; Makpherson umiał dopytać się zguby swojej, bo wiatr gór rodziunych, bo szum lasów znajomych, bo duch wreszcie mogił ojczystych doszeptał mu ją przy wtórze serca drżącego. Ale badacz turysta, albo urzędownie działająca Komissya akademików, czy mogła mieć na zawołanie swoją tę samą moc tajemniczą, która otwierała Makphersonowi bratnie serce ludu i wiązała mu w jedną całość harmonijną rozniesione po grobach i ruinach dźwięki pieśni ojczystej?

Tym więc sposobem Makpherson, mając do pomocy miłość i owo poczucie rzeczy ojczystych, które się żadną formułą określić i niczem zastąpić nie daje, — zrobił to, czego wszyscy następni poszukiwacze, pozbawieni właśnie wyżej wspomnianych środków, zrobić na jego miejscu nie byli w stanie. Takie przynajmniej pod tym względem jest zdanie moje, zdanie które wyrobiłam sobie długim i zamiłowanym wczytaniem się w dzieło przez niego tłumaczone, a oparłam na ogólnym charakterze poezyi ludowej i warunkach niezbędnie dla jęj zbieracza potrzebnych. Mniemam nawet, że takie było moralne przekonanie Komissyi Edyburgskiej, chociaż zachowując w całym ciągu działania, skrupulatną ścisłość form prawnych, wstrzymała się od wyrzeczenia jakiegobądź sądu, ogłaszając tylko sprawozdanie prac swoich, co z dołączeniem gallijskich dokumentów i angielskiego ich przekładu, utworzyło razem grubą książkę w 4-ce, której egzemplarz przesłano akademii Paryzkiej z objaśniającym listem John Sinclair'a i gallickim przedrukiem własnoręcznego rękopismu Makphersona, z którego widocznie przekład swój skutecznie, a który już po śmierci w papierach jego znaleziono.

Czyn ten, poddający niejako pod sąd akademii Paryzkiej całą tę polemikę lat kilkunastu, wykazuje nam dowodnie, jak pieśni Ossyana wysoko musiały być uważane

w piśmiennictwie swojego kraju. Lecz gdyby nawet tam uboczne wpływy przyłożyły się w części do tego, oddziaływać one przecież nie mogły na sąd całej Europy, która pieśni Ossyana przetłumaczyła na wszystkie niemal języki swoje. Pierwszym z kolei był francuzki przekład Letourneur'a, a chociaż pozbawiony wdzięku, prostoty i przesady chcący zastąpić siłę, nie mógł dać prawdziwego o oryginalne wyobrażenia; chociaż Voltaire sztygając ze ślepego barbarzyńcy, pisał o nim dowcipne anegdotki, w których się i staremu Homerowi dostało, Francya jednak rozmiłowała się dziwnie w dumach kaledońskiego pieśniarza. Nie wiem czy to krew galijska odezwała się mimo wiedzy na głos pieśni pobratymczej, czy tylko społeczeństwo stare i zużyte, zmęczycwszy się gadaniną retorów i traktatami encyklopedystów, chciało odpocząć na tych świeżych obrazach zapomnianej przez siebie natury; kiedy tymczasem żywioł młodzieńczy wyrastający już z ciasnych pieluch sztucznego świata, chwycił w pierś swoją trzeźwą woń gór i lasów: to jednak pewno, że melancholijna nuta ślepego barda przypadła jakoś do wszystkich uszów zarówno. Pomimo bowiem pozornych szaleństw, pomimo błyszczącego dowcipu i dumnego z siebie rozumu, smutno było ludziom tej epoki, gdy wszystkie stare wiary łamały się dokoła, i dziwnym zbiegiem okoliczności w pół dziki pieśniarz z czasów cesarów rzymskich, odpowiedział temu stanowi ich duszy. Ślepy i stary, przeżywszy wszystko co kochał na ziemi, siadywał on na powalonych kamieniach druidyjskiego ołtarza, nie mając jeszcze nowego Boga aby weń uwierzyć, i dla tego głos jego, jest tak głęboko smutny, kiedy z niewypowiedzianą tęsknotą niepewności woła przy wtórze wichrów północnych: „Zkąd i dokąd płyniesz lat strumieniu?”

Francya nie wiedząca wtedy sama w czyich rękach spoczywają wodze czasu, a z dziką jakąś energią fermentującej siły gotująca się na bój olbrzymi, polubiła te pieśni smętne i wojownicze razem. Że zaś wrażenie ich na umysł było silne i nie prędko przemijające, dowodzi nam mowa Tallejranda, miana już po traktacie w Campo-Formio, w której zimny i wyrachowany ten dyplomata witając w obec zgromadzonego Paryża młodego zwycięzcę Włoch, pomiędzy rękojmie, dla których rzeczpospolita

nie powinna się lękać zbyt ćmiącej chwały wojownika, kładzie: „*son amour pour ce sublime Ossian, qui semble quelquefois le détacher de la terre.*”

Dziś jeszcze Francya jakkolwiek zazdrosna o chwałę przodkowania Europie, w każdym kierunku dróg ludzkich sama się przyznaje do wpływu wywartego nań przez galijskiego śpiewaka i w obrazie XVIII wieku Villemain tak się wyraża: „jak dotąd duch francuzki dawał natchnienie piśmiennictwa całego świata, tak z kolei gieniusz Ossyana, ktokolwiek on był, potężnie oddziałał na poetyczną formę literatury naszej. Lecz nietylko koniec XVIIIgo wieku uległ téj dziwnej przewadze starożytnego barda, bo przyznać musim otwarcie, że większa część poezyi i poetycznej prozy naszego stulecia, nosi na sobie barwę tego marzącego ducha, co piętno swoje wycisnął nawet na politycznych zamieszkach naszych. nadając ich przewodcom coś smętnego i prostego razem.” Daléj mówi znów: „Był u nas czas, a czas to niestety dość już daleki, młodości mojej, kiedy przy rozdawaniu nagród szkolnych brzmiały prawie wyłącznie imiona Oskarów, Malwin, Temorów; imiona dźwięczne, miłsze snąć uszom rodzicielskim od zwykłych nazw kalendarza i pokazujące zarazem, jak wielkim musiał być entuzjazm objawiający się zarówno śmieszną i poważną stroną swoją, bo przyznajcie panowie, czy to wspomnienie Ossyana połączone z anegdotką moich uczniowskich czasów nie wywołało zarazem przed oczy wasze wielkiego cienia?”

Villemain, chcę tutaj mówić o wspomnianém już wyżej a tak powszechnie znaném upodobaniu Napoleona do pieśni Ossyana, które sekretarz jego Bourienne — „*sa passion favorite*” — nazywał. Tylko że ten umysł potężny, co nakształt złotego orła swojej chorągwi obejmował wszystko wzrokiem skąpanym w świetle gieniuszu, nie mógł smakować w sztucznych frazesach Letourneur’a, i nie dziw wcale, że przeniósł nad niego włoski przekład Cesarottiego. Przekład ten bowiem dokonany z prawdziwém pojęciem oryginału, jakkolwiek bardzo wierny, nie w swoim poetycznym polocie skrępowany nie został. Czytając go czujemy przy każdym wierszu, przy każdym niemal wyrazie, że Cesarotti, umysł z natury poetyczny a następnie wykształcony na klassycznych wzorach Grecyi, tłu-

maczy te wojownicze dumy Północy na swoją wdzięczną mowę Południa, pociągnięty widocznie urokiem starożytnej ich prostoty, i w rozmiłowanym uwielbieniu swoim dla ich twórcy, zdaje się przenosić go niekiedy nad starego Homera.

O przekładach niemieckich nie powiedzieć nie mogę, nie czytałam z nich bowiem żadnego i domniemywam się tylko, że łatwo marząca natura Niemców ulubić sobie musiała melancholijną stronę pieśni Ossyana: Goethe przed chwilą samobójstwa dał je czytać Wertherowi.

My z tego czasu dwa tylko częściowe mamy tłumaczenia: Krasicki Fingala i pieśni Selmskie, Książnin Fingala, Temorę i kilka pomniejszych poematów przełożył; lecz na nieszczęście oba te przekłady z Letourneur'a już widać dokonane zostały, bo w obydwóch przebija zarówno owa maniera francuzka rozstrajająca tak fałszywie starożytną nutę dum Ossyanowych. A szkoda, szkoda wielka że ani ten książę biskup władający tak potężnie jędrniejszym jeszcze językiem naszym, ani słodki śpiewak *Matki obywatelki*, nie zdołali wśród szumu słów próżnych pojąć ducha stariej pieśni północnej, a akordem silniejszych dźwięków byłaby może zabrzmiała wtedy, gdy szcęk niepożartych od rdzy szablic, dzwonił jej jeszcze do chóru, i kto wie czy jaki syn krwi hetmańskiej, słysząc głos owych duchów jęczących kiedyś na chmurach Północy, nie byłby spojrział ku niebu, ażali i tam gdzie niema pomstujacej mary pradziada!...

Różnemi potem czasy ukazało się u nas kilka jeszcze oddzielnie tłumaczonych poematów, a pomiędzy nimi Berrathon, przełożony wdzięcznym jak muzyka wierszem Brodzińskiego. Lecz dopiero Seweryn Goszczyński uważając te wszystkie przekłady z przekładów—„za naśladowania raczej i to takie jeszcze, że z nich powziąć nie można żadnego o oryginale wyobrażenia”—cały zbiór pieśni Ossyanowych w 1838 r., razem przełożył i we Lwowie przy innych swoich poezyach wydał. Przekład ten dokonany z prawdziwem poczuciem piękna artystycznego, ma prócz zasługi wierności, tę siłę i prostotę języka, której właśnie poprzednim tłumaczeniom zbywało, a które przecież stanowi jakby koloryt koniecznie obrazom pieśni

Ossyanowych potrzebny. U Goszczyńskiego wszystko ma światło i ton sobie właściwy; czujemy, że ślepy bard Morwenu tak śpiewać musiał dla swojej córki królewskiej, i przekładowi temu brak tylko melodyi rymów, co by zastąpiła niejako owo słodkie miarowej nuty kołysanie, ową selmskiej harfy muzykę.

Dla tego to odważyłam się z kolei przebudzić raz jeszcze tę pieśń starożytną, którą Walterscott w poetycznej swjej mowie *czarodziejką* Północy nazywał; odważyłam się zbyt śmiało może, powtórzyć niewieścim głosem moim, rycerskie brzmienie jej dum wojowniczych, ale urok smutny jak wspomnienie przeszłości, pociągnął mnie ku niej mimowoli.

Chociaż Makpherson do każdego poematu przypisy swoje dołączył, sądzę przecież że krótka nota objaśniająca, jak to i Goszczyński uczynił, nie będzie dla niektórych czytelników polskich zbytęzną.

Kaledonczycy, szczerp wielkiego Celto-Gallów plemienia, zamieszkiwali północną część dzisiejszej Szkocyi i sąsiednie wyspy oceanu, a nazwa ich złożona z dwóch gallickich wyrazów: *Caël* Celt i *ehm* pagórek, co razem znaczy *Celt z gór*, przez Rzymian dopiero w łagodniejszy dźwięk Kaledonów zamienioną została, chociaż góral szkocki do dziś dnia krainę swoją *Caëldoch* a siebie *Caël* albo *Gaël* nazywa, co przy właściwości ich języka zamieniającej łatwo *c* na *g* jedno jest i to samo; tylko złe wymawianie obcych i dowolna ich wyrzutnia pierwszej lub drugiej samogłoski, stworzyła dwie równobrzmiące nazwy *Celta* i *Galla*. Lud ten z natury żywy i waleczny jak całe jego plemię, a przez klimat na wszelkiego rodzaju trudy zahartowany, żył pod teokratycznym rządem kapłanów zwanych Druidami, i podzielony na pokolenia czyli klasy, jednoczył się dopiero ku wspólnej przeciw wrogom obronie pod wodzą naczelnego przewodnika Vergobreta, którego Druidowie tajemniczym obrządkiem udarzenia włócznią o tarczę, na czas wojenny obierali. Wódz taki, spełniwszy powierzona sobie misję, znów władze w ręce Druidów składał, a jedyną walecznych jego czynów nagrodą była nieśmiertelna pieśń barda, niższego w hierarchii Druidów kapłana,

którego obowiązkiem było, w czasie bojów odwagę wojownika pieśniami swemi ukrzepiać, a następnie wśród uczt narodowych imię jego potomności przekazać. Druidowie sprawowali sądy i ofiary, leczyli chorych za pomocą obrzędów tajemniczych, i dając ludowi moralne i obyczajowe wykształcenie, sami, jak niegdyś kapłani egipscy, istotną zasadę religii polegającą na mistycznej czci natury, pod tajemnicą symbolów sobie zachowali. Ale kiedy Rzymianie ujarzmiwszy wszystkie gallijskie ludy stałego lądu i południowej Brytanii, z kolei następować zaczęli na swobodne Kaledonów dziedziny, stosunki dawniejsze zamieniły się na nowy rzeczy porządek. Lud bowiem zmuszony stać wiecznie na straży ognisk swoich, przywykał powoli do posłuszeństwa wodzom swoim i władza Vergobretów rozszerzała się co raz bardziej z krzywdą ustaw narodowych; aż nareszcie Trenmor, pradziad Ossyana, potęgę Druidów całkiem obalił i utworzywszy królestwo Morweny, sam się królem onego ogłosił, a następnie dziedzictwo władzy swojej pierworodnemu Komhalowi przekazał. Wtedy Druidowie rozproszeni po samotnych jaskiniach, *drżący synowie skał*, jak ich Ossyan w poemacie Komala nazywa, żadnego już wpływu na lud mieć nie mogli, stawszy się dlań wróżbitami tylko, czyli jak w to górale szkoccy podziś dzień wierzą: *ludźmi z podwójnym wzrokiem*. Pieśń więc bardów stała się odtąd jedyną moralną przewodniczą narodu; ale wywołująca cienie ojców, nie śmiała, jako niepoświęcona, przyzwać imienia bogów, i Kaledonczycy popadli w ten stan nienaturalny, w jakim po upływie wieków znaleźli się potomkowie ich zamorskich braci: nie mieli wiary, tylko religią polityczną. Wtym to okresie próżni, poprzedzającej objawienie nowego Boga, urodził się Ossyan, syn króla bohatera, przeznaczony do nieśmiertelnienia swojego rodu, i kiedy Gallia podbita, tylko w zwycięzcach swoich znalazła dumnych malarzy zewnętrznej swęj szaty: wolnej Gallii daném zostało wydać poetę odkrywającego całą głębię jęj ducha, we wszystkich objawach chwały i boleści, miłości i nienawiści swojej. Taką była pieśń Ossyana, bo tylko jako taka zdołała przeżyć tysiące pokoleń, pokazując siłę kilkunastowiekowego istnienia, że w niej biją wszystkie serde-

czne tętna narodowego życia tego ludu, co barbarzyniec niby, poczuł się tak wysoko w moralném ukształceniu swojém, że pieśni wieszczą, wespół z mieczem rycerza, powierzył obronę ziemi ojczystej, i zbrojny w te dwie potęgi, podpierające się wzajem, nie puścił berła samoistności swojej, mimo wszystkich sił świata skupiających się w rozbójniczym Rzymie, który prócz tego posługiwał się całą materyalną cywilizacją wieków. Ale też lud ten, wiedziony tak górnie poświęconemi głosami piewców, tylko natchnienie prawdziwego gieniuszu mógł wiać na narodową epopeję swoją. Czysta, bo jęj na kapłańskiej harfie przygrywano; silna, bo ze swobodnej piersi tryskała, musiała być zarazem brzmiącą jak szcęk mieczy hartownych, a przecież tkliwą i smętną niekiedy: bo gdzie miały spływać łzy dziewic, co na samotnych wrzosach pagórków czekały kochanków rycerzy? Ossyan bard i wojownik zarazem, przez życie całe zbierał dźwięki na taką pieśń nieśmiertelną: w ciszy nocy strażniczych, w wrzawie bitew zwyciężkich, grała mu wiecznie natchniona miłością ziemi rodzinnej; ale ku wcieleniu jęj w żywy głos piersi swoich brakowało mu jeszcze ostatniego namaszczenia poety: wiary, choćby nawet w fałszywe bogi przeszłości, która zawsze przecież podniosłaby wzrok jego ku niebu i potrzeba aż było ognistego chrztu boleści, aby nim oczyszczony niejako z grzechu rodu całego, odważył się uderzyć w wieszce struny harfy narodowej.

Może tam, gdzie ja widzę tajemniczą, ale konieczną pracę ducha ludzkiego, ktoś inny dostrzeże tylko przypadkowy zbieg okoliczności; zawsze jednak jest to rzecz pewna, że Ossyan nie zostawił po sobie żadnej pieśni lat młodzieńczych. Dopiero bezdzietny i ociemniały, wsparłszy się jako Edyp grecki na ramieniu synowy swojej Malwiny, siedł on na samotne groby rycerzy i śpiewał tam wojownicze dumy owe, których przedmiotem były zawsze bohaterские czyny ojca jego Fingala, zapasy z Rzymem, wyprawy do Sochlinu (półwysep Jutlandzki, starożytny Chersones Cymbrów), wreszcie walki Celtów Irlandzkich (Caél Eirinach) z pobratymczém pokoleniem Fisbolgów zamieszkującym południową część wyspy, którą, dla jęj położenia względem Wielkiej Brytanii, krajowcy Ery-

nem (Ear-in, zachodni kraj) a Rzymianie Hibernią nazywali. Tym więc sposobem Ossyan, otoczony światem cieńców, który przed ślepem oczyma starca roztaczał się w nieśmiertelnym blasku piękna i młodości, zamknął w pieśniach swoich niemal cało-wiekowe dzieje swego narodu; tak, że odkrycie ich w XV-cie wieków później rozświecić potrafiło nie jeden ciemny punkt szkockiej i irlandzkiej historyi. Ale Makpherson tłumacząc a następnie wydając je częściowo, w miarę jak mu się coś odszukać zdarzyło; nie mógł zachować między niemi pewnego porządku chronologicznego, który chociaż nie oznaczony datami, wykazuje się przecież z samej treści przedmiotów. Ja zaś, uważając za właściwe przywrócenie rozerwanego związku między poematami, w których głównie działające osoby są prawie zawsze też same, kolej postępowania ich po sobie zmieniałam i rozpoczęłam tłumaczenie moje od dramatycznego obrazu *Komala*, w którym Fingal występuje jako młodzieniec i kochanek. Dalej idą rycerskie czyny lat jego dojrzałych, aż nareszcie siwy mocarz Morwenu, złożywwszy pod kamieniem pamiątki, tarczę i miecz swój zwycięzki, odchodzi na spoczynek *cichego domu*, ale duch jego zaklęty pieśnią poety, długie jeszcze wieki jawić się będzie przy wieczornych ogniskach rycerzy i siedać przy ich stołach biesiadnych; a kiedy czasy nowe i ludzie obcy rozepną się nad starą ziemią bohaterów, on, rycerski geniusz niepodległej Gallii, stanie na straży mogił samotnych i posterunku swego nie rzuci, póki choć jedno serce bić będzie na dźwięk mowy ojczystéj!....

O wieści gminna! ty arko przymierza,
 Między dawnemi i młodszemi laty.
 W tobie lud składał broń swego rycerza,
 Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.
 Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
 Póki cię własny lud twój nie znieważy;
 O pieśni gminna! ty stoisz na straży,
 Narodowego pamiątek kościoła:
 Z archanielskimi skrzydłami i głosem,
 Ty dzierzysz czasem i miecz archanioła! ...

KOMALA,

OBRAZ DRAMATYCZNY (*).

OSOBY.

FINGAL syn Komhala, król Morwenu.
 HIDALLON, rycerz.
 KOMALA, królowna Inistory.

DETSAGRENA, { córki Morniego.
 MELILKOMA, {
 BARDOWIE.

Dersagrena.

Skończone łowy, cisza na Ardwenie;
 Tylko w parowach srebrne drżą strumienie.
 Córko Morniego! rzuć łuk naprężony,
 Bierz swoją harfę, spiesz od brzegów Krony;

(*) Dramatyczny ten poemat, wyżej nad inne cenionym być powinien przez wzgląd na wypadki historyczne, które rozświeca. Wzmiankowany tu Karakul jest widocznie Karakallą, który w 211 roku dowodził wyprawą przeciw Kaledończykom, dla odzyskania posiadłości, w 210 roku przez cesarza Sewera zdobytych, i wkrótce zaraz w czasie choroby tegoż straconych. Karakalla nie rad, że przy śmiertelnie chorym ojcu zostawia brata swojego Getę, podejmował tę wyprawę niechętnie, i zaledwie wkroczywszy w kraj nieprzyjacielski, cofnął się nagle, wieścią o śmierci cesarza Sewera ku innym zabiegom pociągnięty. Podanie dokładniej jak pieśń, treść wypadków opowiada. Komala córka Sarna, króla Inistory (jednej z Orkad) pokochała Fingala, gdy tenże po śmierci kochanki swojej Agandeki, w powrocie z Lochliny do królewskiej stolicy swojej Selmy, przez ojca jej na ucztę zaproszonym został. Namiętność Komali była tak silną, że przebrawszy się za młodzieńca, który niby towarzyszyć chce królowi, ujechała z nim do Morwenu, ale Hidallan, jeden z rycerzy Fingala, zakochany w niej od dawna, poznał przebrana, a Fingal zwyciężony miłością i wdziękami dziewczęcy, postanowił pojąć ją za żonę. Wtém Karakul, syn króli świata, jak Kaledończycy cesarzów rzymskich nazywać zwykli, wtargnął w dziedzinę Morwenu, i Fingal zmuszony narzeczoną swoją nagle opuścić, nie odkrył przed nią celu wyprawy, obiecując jej tylko tej jeszcze nocy powrócić. Reszta wypadków odkrwa się z treści samego poematu, który może, na podobieństwo naszych widowisk scenicznych, w czasie uroczystości odśpiewywanym bywał, jak tego domyslać się każę miara wiersza, zmieniająca się za każdym wystąpieniem nowej osoby.

Niech pieśń po górach rozlega się wdzięczna,
Aż z niebios ku nam zejdzie noc miesięczna.

Melilkoma.

Już, już dziewczko modrooka!
Już zstąpiła, i z wysoka
Na dolinę padła mrokiem.
Gdym rzuciła za się wzrokiem,
Jeleń, widzę. u wód Krony
Stoi, jako głaz omszony.
Ale patrzę: z oczu znika!
Strzelił, tylko błysk płomyka,
A przeszłości duch ponury
Wyjrzał z łona mrocznej chmury.

Dersagrena.

To Fingal zginął! upadł powalony!
Duch jego błądzi po wybrzeżach Krony;
Zmógł tarcz mocarza Karakal zuchwały.
Powstań Komalo z twego łoża skały,
Wstań córko Sarna, gorzką łzą zalana,
Miłości twojej nie ma już młodziانا.

Melilkoma.

Tam ją widzę!... tam! tam siedzi!
Modrém okiem przestrzeń śledzi,
Śledzi pole obietnicy.
Dwa psy siwe przy dziewicy,
Strzygą uchem, wietrzą wkoło:
Ona, dłonią wspiera czoło,
Kryje wdzięcznych lic jagody,
Włos rozchwiały górskie chłody.
Królu mężów! gdzieś się podział?
Już cień nocy ziemię odział.....

Komala.

O Karunie falisty!
Coś tak zmącił nurt czysty,
Jakby krwawą przybierał posoką?
Zkąd u cichych twych brzegów,
Zgiełk walczących szeregów,
Kiedy Fingal śpi kędyś głęboko?
Wyjdź księżycu z za chmury,
Niech mi promień twój z góry,
Sen lubego ukaże wśród cieni:
Ale dla mnie już z nieba,
Może raczej potrzeba
Blasku, co się krwi łuną czerwieni?

Duchom świecił w pomroku,
Niech więc wskaże tór kroku,
Do rycerza niech wiedzie mnie mego.

On tam leży zwalony!

Któż mi doda obrony,
Przed mym żalem, miłością innego?
Lecz nie—jeszcze Komala
Ujrzy może, jak zdała
Wraca Fingal na czele rycerzy.
Jak jutrzeńki świtanie,
W mgły porannój tumanie,
Kędy błysnie, tam światłość się szerzy.

Hidallan.

Spadnij mgło Krony! roztocz się mrokiem!
Ślad kroków jego skryj mi przed okiem;
Niech już nie widzę, którędy chodził:
Błądził po lasach, po wodach brodził.
Niech pamięć ducha w sercu mi zginie:
Ze wrzawą bojów ciszę mą minie,
I już nie pójdzie mężom po przedzie,
Rozpierzchłych hufców już nie powiedzie....
Jęcz więc Karunie! krwią mąć się w biegu,
Mocarz narodu padł na twym brzegu!.

Komala.

Kto?... kto upadł?... kto leży,
U Karuna wybrzeży,
Powiedz synu ciemności ponury!
Czy w swój krasie młodzieńczej
Był śliczniejszy od tęczy,
Bielszy stokroć od śniegów téj góry?
Miałże włosów kędziory
Jak wiosennéj mgła pory,
Gdy na wzgórzu leciuchno się fali,
I od wschodu promieni
Złotem niby się mieni,
Z tchnieniem wiatrów unosząc się w dali?
Lecz wśród bitew pogromu,
Byłżeż jako trzask gromu,
Jako piorun wypadły z chmur łona?
A tak chyży jak łania,
Co wiatr w puszczech przegania,
Czy tak chyży był, pytam, jak ona?

Hidallan.

Jegoż kochana wsparta na skale,
Zawodzi jęki, rozsyła żale?

Oczy jój pali gorzka łez rosa,
 Lice wpół kryje rozwiana kosa.
 Dmuchnijże, dmuchnij wietrzyka teńnienie.
 Zgarnij te, proszę, złote pierścienie,
 Niech choć obaczę łono dziewicze,
 I zasmucone pięknej oblicze.

Komala.

Poległ! poległ! nie żyje!....
 Cóż że niebios grom bije,
 Że się pożar błyskawic zapala!
 Ciebie dziewczko nieboże,
 Nic już straszyć nie może,
 Gdyś twojego straciła Fingala!
 Mężu wieści straszliwój!
 Powiedz.... ległże nie żywy,
 Tarcz kruszyciel, ród dzielny Komhala?

Hidallan.

Lud na pagórki pierzchnął dokoła,
 A głos mocarza na nich nie woła.

Komala.

Niech cię wieczny strach żenie!
 Niech cię pożre zniszczenie!
 Krótka będzie do śmierci twój droga.
 A twa dziewczka w żałobie,
 Królu świata po tobie
 Niech tak płacze, jak ja dziś nieboga!
 Lecz ty, pośle boleści.
 Czemuż srogiej twój wieści
 Nie spóźniłeś godziną choć jedną?
 Jeszczebym się łudziła,
 Jeszcze, jeszczebym była,
 Duszę moją cieszyła czémś biedną!
 Cień téj może opoki,
 Krzak drzewiny wysoki
 Byłby wzrok mi omamił na chwilę;
 A wiatr górski w podmuchu
 Możeby się zdał uchu
 Rogiem jego dźwięczącym tak mile!
 Gdybym chociaż nieboże
 Przez nieznane rozdroże
 Nad Karanu dostała się wody,
 I gorących łez zdrojem
 Nad kochaniem tém mojem
 Zbladłe jego obmyła jagody!....

Hidallan.

Tam, na Ardwenie jego mieszkanie:
Grób mu głęboki kopią bojanie
Błysniej księżycu! wyjrzyj z wysoka,
Niechże go ujrzy błękitno-oka,
Niechże go ujrzy w połysku zbroi,
Co od światełłości iskrzy się twojej.

Komala.

Stójcie! stójcie kopacze!
Raz go jeszcze zobaczę,
Raz się jeszcze nań spojrzę nieboga!
Na łowach mnie porzucił;
Przyrzekł wrócić — ha! wrócił!..
Nie wiedziałam że idzie na wroga.

Lecz ty synu skał drżący,
Coś go we krwi gorącej,
Coś go widział w czerwonej téj fali;
Czemuś nie rzekł choć słowa,
Że ma runąć ta głowa:
Czemuś nędznój nie ostrzegł Komali?

Melilkoma.

Na Ardwenie głosy słyszę!
Zkąd te błyski po dolinie?
Kto tu nocną miesza ciszę,
I jak rzeka, kiedy płynie
W migoczącym blasku fali,
Kto tu ku nam zstąpi wdali?

Komala.

Ktoby, pytasz? kto?... wrogi!..
Króli świata syn srogi,
Spłyn Fingalu na wiatrów zawiei!
Łuk mi pomóż wymierzyć,
W pierś chcę samą uderzyć,
Niech się zwali jak rogacz wśród kniei.
Lecz to mara Fingala!..
Tłum ją duchów okala,
Błysk ogników rozświeca im drogę.
Po co, po co, kochanie,
Śmierci rzucasz mieszkanie,
By radować i straszyć niebogie!

Fingal.

Podnieście bardowie rozgłośny chór pieni,
Karunu śpiewajcie mi boje:

Jak pierzchnął Karakul od drżących strumieni
 Na pychy siedlisko to swoje.
 Daleko gdzieś przepadł jak płomyk ognika,
 Pod którym duch nocy się chowa,
 Gdy zamieć po wrzosach przepędza go dzika
 A ciemna mu huczy dąbrowa.
 Lecz jakież głos słyszę? Czy wiatry powiały?
 Czy moja tam nuci Komala?
 O córo Sarnowa! wstań proszę, ze skały,
 Niech ujrzę, usłyszę cię zdala.

Komala.

O mój wdzięczny! mój miły!
 Synu chłodnej mogiły,
 Weź mnie w twego spoczynku jaskinię.
 A nie czekaj, nie zwlekaj,
 Ani z wiatrem uciekaj,
 Weź mnie z sobą kochanku! weź ninie!

Fingal.

Zabiorę! zabiorę! do ciszy do wczasu,
 Już burze minęły na niebie.
 O śliczna łowczyni z wrzosistych gór lasu!
 Zabiorę, uniosę ja ciebie!

Komala.

On powrócił! on żyje!
 Z ocz mu chwały blask bije,
 Bojów dzielnej dotykam prawicy.
 Niech odetchnę na skale,
 Z serca ztrząsnę precz żale;
 Niech po ciężkiej odpoczne tęsknicy.
 A wy, córy Morniego,
 Pieśnią dźwięku słodkiego
 Trwogę biednej ukojcie dziewicy!

Dersagrena.

Trzy jelenie,
 Na Ardwenie
 Ubiła Komala.
 Już ogniska lśnią płomienie,
 Nuż królu na Morwenie,
 Spiesz na ucztę zdala!...

Fingal.

Wy pieśni synowie głos puście w zawody,
 Karunu śpiewajcie mi boje:
 Niech będą wesołe dziewicy mój gody,
 Kochanie niech cieszy się moje!

Chór Bardów.

Tocz się Karunie, tocz wesoło,
 Pierzchnęły zasię obcych syny,
 Gdzieś na nieznane ukraiiny.
 Poszli podnosić dumy czoło,
 I wśród zielonych naszych błoni
 Nie słychać wroga rżących koni,
 Spokojnie słońce rankiem wstanie,
 Spokojne zstąpią nocy cienie.
 Zawiesim tarczy krąg na ścianie,
 Po puszczech będziem gnać jelenie,
 A gór wyżyna, głąb parowów,
 Rozdzwięczy głośném echem łowów.
 Przez oceanu sine tonie
 Pójdziem nadstawiać chwale czoło.
 Krew nam Lochlinów zboczy dłonie,
 Tocz się Karunie, tocz wesoło:
 Pierzchnęły zasię obcych syny
 Gdzieś na nieznane ukraiiny!....

Melilkoma.

Mgły tumanie, spłyn z wysoka!
 Spuść się promieniu księżycu!
 Cicho legła modrooka,
 Błada zasnęła dziewica....

Fingal.

Takżeż to kochanie odbiegło mnie moje?
 Sarnowa nie żyjeż już córka?
 Gdy chłodne ku sobie przywabia mnie źródło,
 Spłyn ku mnie na wrzosa pagórka.

Hidallon.

Przebrzmiał głos luby w Ardwenie głuszy.
 Czemuż skłóciłem pokój jej duszy?
 I kiedyż teraz nędzny zobaczę
 Jak szare w kniejach tropi rogacze?

Fingal.

Precz z oczu młodzieńcze posępny i blade,
 Precz zasię od komnat mych proga!
 Nie moje ci łowy, nie moje biesiady,
 Nie chodź ci ze mną na wroga.
 A teraz mnie wiedźcie w te miejsca złowrogie,
 Ostatnie spoczynku jej łożo,
 Niech jeszcze zobaczę nieboże.
 Na skale spoczywa—chłód nocy przewiewa
 Pomiedzy włosami złotemi,

Drży w wiatrów podmuchu napięta cięciwa,
A strzała złamana na ziemi.
Ozwijcie się głosy, zabrzmiście pochwały,
Bo plemię to było królewskie,
I słodkie jęj imię od skały do skały
Niech wichry rozniesą królewskie.

Chór Bardów.

Patrzcie! ogników światłość drżąca,
W około bladęj Sarna córy.
Srebrno promienny blask miesiąca
Po duszę dziewczki zstąpił z góry:
A w górze ojców straszne lice
Z łona chmur patrzą na dziewicę.
Sarno zasępił groźne czoło,
Krwawo wzrok błyska Fidalana.
Kiedyż znów ozwie się wesoło,
By głos po górach leciał z rana
I dłoń się biała kiedy wzniesie
Cięciwę łuku przeżyć w lesie?
Smutne dziewice nadaremno
Będą jęj szukać między wrzosem.
A ona nocą zstąpi ciemną
Pokój im wdzięcznym przynieść głosem:
I choć już ciche minie spanie,
Głos ten im w uszach pozostanie.
I odtąd słodkich dum tęsknota
Noc im przypomni o dniu białém.
Patrzcie się! patrzcie jak migota,
Po nad dziewicy martwém ciałem,
Wkoło ogników światłość drżąca
A duszę niesie blask miesiąca.